

z ulicy Temple, dziś przychodzi tutaj? Ciekawy zbieg okoliczności. Gdybym tak spróbowała dowiedzieć się coś od niego? Użyję wszelkich sposobów, aby go oblaśkawić, chociaż ci amerykańscy milionerzy, to podobno wszyscy, ludzie bez wyższego wychowania i subtelności.

Z błyszczącymi gorączkowo oczami weszła do salonu, gdzie oczekiwał Allan. Na widok tej wspaniałej, wyniosłej kobiety, uroanej z wytwornymi smakiem, z chmurą rudawych włosów, rozwianych nad gładkim jak marmur czołem, Allan doznał olśnienia:

— To ona! — pomyślał.

Przecucie nie myliło, że tą istotą mogła być tylko Sydonia de Bressien, niebezpieczna dla urody swojej i majątku.

Powstał i skłonił się przed nią z uszanowaniem. Twarz jego wyrażała podziw i żal.

— Taka piękna, a taka przewrotna! — pomyślał — Szkoda! Mogłaby na całe życie przykuć człowieka do siebie!

— Mojej kochanej mamy niema jeszcze — rzekła Sydonia uśmiechając się uprzejmie — ale wkrótce powróci. Przyszedłem dotrzymać panu towarzystwa.

— Za wcześniej nazywałeś markizę de Kermor „mamą”? — zauważył w duchu Allan.

— Może to niegrzeczność — cdewał się głośno — ale postanowiłem doczekać się powrotu pani de Kermor.

Baronówna w niedbalej pozie usiadła na fotelu i spojrzała zachęcająco na gościa.

— Pozwoli pan, że mu czas postaram się skrócić rozmową?

Allan skłonił się i wypalił szorstko:

— Nie trzeba nic rozmyślnie skracać w życiu, szczególnie czasu, który mogłoby się pomścić za to. Sydonia zbliżała lekko.

— To szczególnie! — pomyślała — zdaje mi się, że już gdzieś widziałam tego człowieka... kiedyś, dawniej... dźwięk jego głosu, nie jest mi obcym... i te oczy badawcze, surowe... Kto jest ten Allan? Muszę o nim pomówić z ojcem..

Rozesmiała się lekko, ironicznie.

— Byłabym pańskiego zdania — rzekła wyzywająco — gdybym dzisiaj nie wyczytała ciekawych rzeczy w dziennikach.

— Tak? — odparł zimno Allan — a cóż to donoszą dzienniki, proszę pana?

— Jest w nich wiadomość o jakimś okropnym apaszu — odpowiedziała Sydonia ze sztucznym wstrętem i odrazą.

— Apaszu?

— Tak. Nazywa się Barykada. Skrócono mu życie, chociaż pan dał mi do poznania, że nie uznaje żadnych skróceń. Nieprawdza?

— Barykada? A! tak, przypominam sobie. Barykada i jakiś jego towarzysz, mały ulicznik! Dopomogli do schwytania ich, moim samochodem. Zapomniałem już całkiem o tej sprawie.

— Widocznie życie pana pełne jest urozmaiceń — zauważyła Sydonia.

— Niech pani osądzi sama. Interesuję się żywo pewną młodą dziewczyną, bardzo miłą i sympatyczną, o której niesciety krążą w Paryżu nie bardzo pochlone wieści, uwłaczające jej dobremu nazwisku! Ja tym wieściom nie daję wiary. Wczoraj więc przyjechałem do Paryża i rozpocząłem energiczne śledztwo.

— A rezultat tego śledztwa — zapytała Sydonia tknięta nagłem przecuciem.

— Rezultat mam już w kieszeni — odpowiedział spokojnie Allan — i jest doskonały naprawdę. Ale musiałem pochodzić za tem i tu i tam. Byłem u posługacza, który niegdyś przeprowadzał tę młodą dziewczynę na jej nowe mieszkanie... u dozorczyń domu, pani Lorange, w dzielnicy Temple i na policyi i w więzieniu św. Łazarza, gdzie poznałem pewnego bardzo sympatycznego pana, pana Colina Megret i jeszcze w drugim więzieniu kobiecym, gdzie rozmawiałem z byłą właścicielką pracowni kapeluszy na ulicy św. Łazarza, a w końcu u nowego bankiera z placu Geldy, ogromnie miłego, młodego człowieka, posiadającego niezwykle ładne i wyraźne pismo.

Sydonia w miarę tych słów bladła i drżenie przebiegało całą jej postać.

— Może pani zechce zobaczyć i próbkę tego interesującego pisma? — ciągnął dalej Allan, nie odrywając oczów od jej zmieniowej twarzy.

Sydonia milczała, nie mogąc się zdobyć na żadne słowo.

Allan wyciągnął z kieszeni kopię zeznania Andrzeja Delrue i podsunął jej pod oczy.

— Ten głupi papier kosztuje mnie okrągły milion. To wiele zapewne, ale żeby pobić pewną sprawę, kosztującą pięćset tysięcy franków, wolęłem dodać drugie tyle. Ale zdaje mi się, że pani nie potrzebuje? Zbladła pani ogromnie. Czy mam przywołać służbę?

Sydonia była bliska omdlenia. Każde słowo Al-

lana godziło w nią, jak nożem. Pomimo całej odporności sił żywotnych i umiejętnego panowania nad sobą, czuła, że dzieje się z nią coś strasznego, że każda chwila usunie się bezwładna u stóp człowieka, który jej przynosi pewny wyrok śmierci.

Konwulsyjnie uchwyciła się poręczy krzesła. Rozszerzonymi przez strach i zgrozę oczyma wpatrywała się, jak zahypnotyzowana, w pismo Andrzeja Delrue. Litery skakały jej przed oczyma. Podchwytowała niekiedy słowo jakieś, zdanie, a to wystarczało do pogłębienia jej ostatecznego. Było tam jej imię, nazwisko ojca, oskarżano ich jawnie, popierając oskarżenie dowodami. Nie było sposobu kłamać, wypierać się. Po raz pierwszy w życiu czuła, że stoi przed czymś, czego całą energią swoją i szaloną wolą życia odepchnąć nie jest w stanie. Andrzej Delrue, który kłamał zawsze dotąd i tem kłamstwem zdobywał sobie stanowisko fikcyjne w życiu, teraz raz jedyny mówił prawdę, straszną, oskarżającą prawdę! Ta jedna chwila miażdżyła ją, niszczyła, wyrzucała poza obręb żyjących ludzi... Sydonia pokonana i złamana pochyliła bezwładnie swoją dumną głowę. Ale równocześnie ogarnęła ją szalona chęć wyrwania tego nieszczęsnego papieru z rąk Allana, podarcia go w strzępy, zniszczenia tego wyroku, który wydano na nią, tak, jakgdyby była uczyniła z niecym współnikiem, gdyby go w tej chwili miała przed sobą!... Instynktownym ruchem wyciągnęła rękę, drżącą tem niezmierzonym pragnieniem.

— Ocul me, proszę pana! — zawołał Allan, lekko chwytając ją za ramię. — Niech pani nie rusza tego papieru. Nie jest czysty, a jednak bardzo pragnę go zachować za wartość meograniczoną, jaką dla mnie posiada.

Uśmiechając się trochę złośliwie, Allan trzymał swój dokument przed oczyma bankierówny, nie mogąc oprzeć się chęci napawania się jej porażką. — Mścił się za Janinę, za wszystkie cierpienia, które przeżyła z jej powodu.

— To mnie nic nie obchodzi — rzekła wkońcu Sydonia, powstając z wysiłkiem.

— Naprawdę?

— Zaręczam panu.

— Ma pani słuszość. To nie odpowiednia lektura dla tak młodej osoby, szczególnie dla szczęśliwej narzeczonej.

Allan rozmyślnie położył nacisk na ostatnie słowa z odcieniem ironii i wyzwania.

— Moj Boże — ciągnął dalej — widzę, że naprawdę nudzę panią historią tej młodej dziewczyny. Ponieważ jednak była ona protegowaną przez markizę de Kermor, przychodzę zasięgnąć od niej pewnych wiadomości w tym kierunku.

— Otrzyma pan jak najlepsze — wyrzekła Sydonia, zmierzając do drzwi buduaru i starając się mówić swobodnym, naturalnym głosem. — Może ją pan poślubić z całym spokojem.

— Ja? — zawołał Allan, udając wielkie zdziwienie.

— A któżby?

— Ja? Ależ pani chyba żartuje ze mnie? To nie ładnie z pani strony. Zapomnia pani, że jestem już starym człowiekiem. A zresztą musiałbym się starać o pozwolenie. Janina jest córką mojego brata, Iwona le Breun.

— Ocul pozwolenie! — rzuciła niedbale Sydonia. Pan jest tak bogaty!

— Jestem rzeczywiście dosyć bogatym, by dobrze wyposażać moją siostrzenicę, kochana pani. Kiedy się wszyscy dowiedzą, że należy do starej, znanej bretonskiej rodziny i że posiada milionowy posag, nie zabraknie jej, mam nadzieję, starających się o jej rękę.

Sydonia nie mogła już dłużej zapanować nad sobą. Z piersi jej wybiegł okrzyk wściekłości, nie nawiści i buntu przeciw losowi i przeciw temu człowiekowi, który drwiący i pewny siebie stał teraz przed nią.

— Och! tak! z pewnością tak! — zawołała, śmiejąc się nerwowo. — Takich, co uganiają za posagami, nie brak! Nie potrzebuje pan nawet opuszczać tego domu! Znajdzie pan w nim, czego pan szuka!

Sydonia nie zauważyła w swojej wściekłości, że od chwili w drzwiach od salonu stanęła markiza de Kermor i słyszała te brutalne, obrażające ją słowa.

Lekka bladeść pokryła twarz pani de Kermor, a po jej ustach przebiegł uśmiech goryczy i pogardy.

— Przepraszam za opóźnienie, drogi panie — rzekła zwracając się do Allana.

Z gestem najwyższego wstrętu i pogardy wskazała oślepiającej bankierównie otwarte drzwi salonu, mierzając ją spokojnym, zimnym spojrzeniem.

Sydonia bez słowa wyszła, wiedząc, że tu już więcej nie powróci, że to wszystko, co w swojej

dumie i pewności siebie zamarzyła, niepowrotnie pozostawia poza sobą.

Markiza de Kermor podała teraz rękę Allanowi, który ją ze czcią ucałował, drżąc z oburzenia powstrzymanego i podziwu dla tej szlachetnej i dumnej istoty.

Z spokojną powagą pani de Kermor poszła następnie zamknąć drzwi salonu i powróciła do Allana, mówiąc z ożywieniem

— Widzę po oczach pana, że udało się szczęśliwie?

Allan skinął głową, nie mogąc jeszcze mówić e wzruszenia.

— Cieszę się z tego gorąco — rzekła markiza nśmiechając się — Pan Allan przychodzi do mnie dzisiaj nie oficjalnie, tak jak kiedyś; ale jak stary dobry przyjaciel, po domowemu. To doskonale! Korzystam z tego i zatrzymuję pana na śniadaniu. Teraz pozostawię pana jeszcze na chwilę samego. Pójdę tylko zdjąć kapelusz i rękawiczki.

Mówiąc to markiza skinęła uprzejmie głową i odeszła do swojego buduaru.

Allan potrzebował rzeczywiście bardzo chwili samotności, którąby doprowadziła do normalnego stanu wzburzonego jego nerwy. Ten człowiek o żelaznym charakterze zwyciężony był silnym wzruszeniem, jakie go ogarnęło na widok moralnego cierpienia tej kobiety, tak dumnej w swoim głębokim smutku, tak dzielnej wobec otrzymanej, niezasłużonej obrazy. W myślach, widział ją teraz w swoim pokoju pogrążoną w rozpaczliwej uoleści, wywołanej brutalnymi słowami, na które nie mogła i nie chciała odpowiedzieć.

A on nie mógł się zemścić, nie mógł jeszcze zniszczyć tej potwornej i zuchwałej istoty!

Markiza powróciła wkrótce do salonu, z twarzą na pozór spokojną i pogodną.

Prawie równocześnie wszedł służący, oznajmiając, że obiad podany.

— Czy chce mnie pan poprowadzić do jadalni? — zapytała Allana pani de Kermor.

Na to proste zapytanie Allan zaczerwienił się po czubki swych swoich włosów. Po raz pierwszy zawstydził się swojej popielatej kurtki.

— Jaka wspaniała pogoda — odezwała się markiza, chcąc gościa swojego wprowadzić w rozmowę swobodną — Po tylu deszczowych i smutnych miesiącach nie miałam już nadziei ujrzenia tego ciepłego, radosnego słońca. Daje mi ono wrażenie, że nadchodzi jeszcze dla mnie lepsze, szczęśliwe dni.

— Nie myli się pani — odpowiedział Allan wzruszonym głosem — Dnie szczęśliwe nadchodzą właśnie i jeżeli panią nie zwruszy zbyt, że Henryk wraca do kraju...

— Henryk wraca? Oh! co za radość niespodziewana! Ależ to cud prawdziwy! I pan mi to oznajmia, panie Allan? Czy to możliwe?

— Tak, panie markizo. Dowód jest tu w kieszeni.

— I tego dowodu — podjęła pani de Kermor — użył pan już szczęśliwie?

— Pani markizo, doprawdy niewiem, jak mam to pani wytłumaczyć.

— Właśnie, właśnie żądam wytłumaczenia. Bez tłumaczenia nie chcę w nic wierzyć.

— Czuję się doprawdy upokorzonym, pani markizo. Czy wie pani, jak skorzystałem z pozwolenia bywania w pańskim salonie. Oto ubiłem w nim sprawę, poprostu sprawę kupiecką, nie zważając, gdzie się znajduje. Czy to nie jest okropne? Panie markizo ludzi takich, jak ja, nie wpuszcza się bezkarnie do siebie. Na wszystkim muszą zrobić interes.

— A jakże ten pana interes wygląda? — zapytała zaciekawiona markiza.

— Maż pani, markiz de Kermor, człowiek znający się lepiej odemnie na formach towarzyskich, dał mi do zrozumienia, że Henryk zaangażowany jest honorem wobec barona de Bressien.

— Oh! już nie teraz, sądzę!

— Nie! Nie teraz już i w tem leży cały interes. Ten straszny człowiek byłby mi kazął ładnie zaśpiewać za zwrot tego słowa! Ale pomimo wszystko, byłbym doszedł, do czego zamierzałem...

— Ale zatrzymał się pan, bo panu brakło głosu, czy tak?

— Tak, zatrzymałem się. Szczęśliwa sposobność w formie wspaniałej rudej koafiury nadarzała mi się już i byłbym ją pochwycił i załatwił się z nią należycie, kiedy właśnie pani weszła. Byłem przekonania, że łatwiej dam sobie radę z tą osobką, jak z jej ojcem.

(Ciąg dalszy nastąpi).